

Wiktorianie XXI wieku

16 grudnia 2016

Dziewiętnastowieczna burżuazja używała moralności do utwierdzania własnej dominacji klasowej – a dzisiejsze elity robią to nadal.

Słowo wiktorianin budzi skojarzenia ze staroświeckością: kobiety skrępowane gorsetami, ściśle określone role płciowe, pruderia okazywana w sprawach dotyczących seksu. W świecie, którym rządzą rażący konsumeryzm i autoekspresja, te dziewiętnastowieczne pojęcia samokontroli i samozaparcia wydają się beznadziejnie przestarzałe.

Jednak wiktoriański etos bynajmniej nie umarł. Żyje nadal i znajduje wyraz we współczesnym zachowaniu wyższej klasy średniej. Mimo że niektóre z jego aspektów stały się niemodne i odeszły w niebyt wraz z kamizelkami, pozostało przekonanie, że burżuazja posiada moralną przewagę nad innymi klasami.

Niedzielne przechadzki, wieczorne wykłady i cotygodniowe spotkania salonowe zostały zastąpione przez spinning w siłowniach, zdrową żywność i składanie wniosków o przyjęcie do college'u. Nie pozwólcie się jednak zmylić. Powyższe zjawiska mają do spełnienia tę samą rolę: przekształcenie przywilejów klasowych w indywidualne cnoty, a tym samym – podtrzymanie dominacji klasowej.

WARTOŚCI WIKTORIAŃSKIE

Historyk Peter Gay używał słowa wiktorianin w szerokim rozumieniu – do opisu kultury wykształconych wyższych klas średnich Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych w dziewiętnastym stuleciu. Oczywiście, klasy te miały o wiele bardziej skomplikowane poglądy na temat seksu, płci i rodziny, niż może się nam wydawać.

Wiktorianie egzekwowali, trzeba to przyznać, surowy kodeks

moralny, jednak rozmawiali o seksie na okrągło, co graniczyło niemal z obsesją. Jak zauważa Gay, bogate pary często pisały do siebie listy miłosne, których treść nawet u współczesnych czytelników wywołałaby wypieki. I pomimo stereotypu surowych, autorytarnych ojców, to w tym okresie szukać można źródeł współczesnych postaw w stosunku do dzieci. Prawdziwy mężczyzna nie tylko zarabiał na utrzymanie rodziny, ale też aktywnie interesował się emocjonalnym „dobrostanem” swojego potomstwa.

Mimo że dziewiętnastowieczne wyższe klasy średnie nie były tak pruderyjne i surowe, jak to sobie wyobrażamy, rzeczywiście przestrzegały ścisłych reguł zachowania. Zasady te odzwierciedlały zmieniające się struktury klasowe tego okresu, jak i chęć rosnącej w siłę burżuazji, by utwierdzić swoją moralną wyższość nad arystokracją. Orężem używanym do podważenia miejsca starej arystokracji w centrum życia politycznego, społecznego i kulturalnego, była cnota. Podczas gdy synowie arystokratów polowali i biesiadowali, synowie bankierów i prawników pracowali, zakładali rodziny i kształcili się.

Słowo-klucz tego okresu jest niemal nieprzetłumaczalne i brzmi Bildung, co oznacza edukację w formie doskonalenia się i ulepszania. To pojęcie, wyrażane w różnych językach i w różnych narodach, połączyło tę rosnącą klasę, podzieloną dotąd granicami. Samoulepszanie odróżniało jej przedstawicieli od dekadentckiego jednego procenta. Dla przykładu, słuchanie muzyki stało się kształcącym – a nie rozrywkowym – doświadczeniem. Osiemnastowieczna kameralna muzyka klasyczna funkcjonowała jako przyjemne tło na arystokratycznych wieczorkach. W halach koncertowych arystokraci obściskiwali się w łóżach, poświęcając tylko zdawkową uwagę wykonawcom. Gdy z kolei rosnąca w siłę klasa kapitalistyczna zaczęła uczęszczać na koncerty, nie spędzała ich na pogawędkach: jej członkowie siedzieli bez ruchu i żądali ciszy, żeby móc skoncentrować się na muzyce. Niemieccy wiktorianie ukuli termin Sitzfleisch – obecnie oznaczający wytrwałość – do

opisania kontroli nad mięśniami, niezbędnej do siedzenia zupełnie bez ruchu w czasie koncertu. Nawet kaszlnięcia i kichnięcia musiały być tłumione, żeby nie rozproszyć niczyjej uwagi i tym samym nie przeszkodzić w procesie samodoskonalenia.

Pogoń za Bildung przenikała też do życia codziennego. Bogate młode kobiety, które nie mogły liczyć na lepszą karierę niż ta żony i matki, uczyły się co najmniej jednego języka obcego oraz brały lekcje gry na pianinie i śpiewu. Mężczyźni często spędzali wieczory uczęszczając na wykłady lub biorąc udział w inicjatywach organizacji obywatelskich. Żeby jednak poświęcenie się opłacało, ubogaceni w ten sposób wiktorianie musieli się z nim obnosić, sprawiając, że to, co różniło ich od biedniejszych i od bogatszych, stawało się dla wszystkich oczywiste.

Wydawali lwią część zarobków na elementy dekoracyjne domu, które demonstrowały jednocześnie zamożność, dobry gust i skromność. Wiedzieli, że odnieśli sukces, kiedy stać ich było na posiadanie salonu – pokoju przeznaczonego wyłącznie do przyjmowania gości, do którego domownicy nigdy nie wchodziłi sami. W niedziele całą rodziną przechadzali się po parku. Co za tym idzie, w całej Europie i Stanach Zjednoczonych bogate rodziny walczyły o tworzenie coraz większej liczby nowych parków. Jednak zgodnie z ich wartościami, miejsca te nie miały być ogólnodostępne w dowolnym celu, lecz służyć za wybiegi, na których można było pochwalić się najlepszym niedzielnym ubiorem.

W Central Parku w Nowym Jorku, na przykład, obowiązywał zakaz deptania trawy i uprawiania sportu. Dzieci musiały przedstawić „zaświadczenie o dobrym zachowaniu” ze szkoły, żeby móc bawić się na placach zabaw. Sprzedaż piwa była w niedziele zakazana. Park ten nie miał służyć rekreacji klasy robotniczej, ale jej dyscyplinowaniu. Robotnicy uczyli się właściwego sposobu korzystania z terenu: spacerowania. Ów wczesny projekt Fredericka Law Olmsteda pełnił rolę ogromnego pomnika

wiktoriańskiego rozumienia przyrody jako miejsca doskonalenia.

MORALNOŚĆ FITNESSU

Chociaż nie widzimy już w nich mężczyzn w cylindrach i kobiet w sukniach, paradujących co niedziela z dziećmi, parki pozostają wciąż miejscami prezentacji cnoty i dyscypliny: współczesna kultura fitnessu idealnie wprowadza w życie dziewiętnastowieczny etos ulepszania. Wiktorianie słynęli z niechęci do wysiłku fizycznego – który pozostawiali proletariatu – i uznawali dodatkowe kilograpy za oznakę przynależności do swojej klasy i przysługującego jej poważania. Fitness i sport zaczęły przenikać do życia klas średnich w dwudziestym wieku, a obecnie pełnią taką samą funkcję, jaką wcześniej przechadzki.

Po raz pierwszy dotarło to do mnie dziewięć lat temu. Mieszkalem w Grand Rapids w stanie Michigan i lubiłem przejażdżki rowerowe. Był to sposób na eksplorację nieznanymi mi miejsc. Pewnego dnia postanowiłem odwiedzić East Grand Rapids, bardzo zamożną dzielnicę, ponieważ mieli tam ścieżkę rowerową prowadzącą dookoła jeziora Reeds. Gdy już tam dotarłem, od razu zauważyłem, że jestem jedyną osobą, która nie ma na sobie ubioru sportowego. Nie znaczy to, że wszyscy uprawiali sport – większość ludzi przechadzała się tak, jak ich poprzednicy – ale byli ubrani, jakby wybierali się na siłownię. Inni rowerzyści mieli na sobie obcisłe stroje ze spandexu, jak gdyby czekali na linii startu Tour de France. Te ubrania wysyłały wiadomość: „Nie myśl sobie, że idziemy lub jedziemy rowerem, żeby dokądś dotrzeć. My uprawiamy sport”. Zamożni rezydenci East Grand Rapids przekształcili przechadzkę po parku w fitnessowy reżim; ich stroje sportowo-rekreacyjne ogłaszały, że to działanie ma na celu samodoskonalenie.

Obecne trendy aktywności fizycznej, takie jak hot joga, spin i CrossFit, demonstrują poświęcenie się samozaparcia i samodyscyplinie, wartościom chwalonym przez wiktoriańską. Bieganie maratonów stało się najlepszym dowodem ich

wyznawania: biegacze mogą publikować zdjęcia w mediach społecznościowych, żeby udowodnić wszystkim, iż torturowali swoje ciała w wysoce cnotliwy – i wcale nie perwersyjny – sposób.

Te postawy przejawiają się także w życiu codziennym. Sklepy sieci Trader Joe's i Whole Foods [amerykańskie sklepy ze zdrową i importowaną żywnością – przyp. tłum.], są wypełnione ludźmi w strojach sportowych, bez śladów potu. Taki ubiór opisuje ich posiadacza jako kogoś, kto dba o swoje ciało, nawet jeśli akurat nie oddaje się aktywności fizycznej. Dresy do jogi i buty do biegania ukazują cnotę tak wyraźnie, jak ukazywały ją gorsety dziewiętnastowiecznych żon. Bycie w formie jest teraz wyrazem przynależności klasowej, która przesycę kulturę fitnessu i jedzenia. Ponieważ kalorie potaniały, otyłość ze znaku zamożności stała się znakiem upadku moralnego. W dzisiejszych czasach bycie chorowitym jest postrzegane jako przejaw zachłanności biedoty, podobnie jak w dziewiętnastym wieku postrzegane były zwyczaje seksualne klasy robotniczej.

Poglądy te stanowią mocny przekaz, że niższe klasy nie umieją się kontrolować, więc dostają dokładnie to, na co zasługują. Nie ma w takim razie potrzeby wprowadzać wyższych pensji ani dofinansowywać opieki zdrowotnej. Biedni przecież i tak zmarnują je na papierosy i cheeseburgery.

Zarówno wtedy, jak i teraz, te domniemane różnice zdrowotne ukazywały zjawisko obrzydzenia ciałami klasy robotniczej. W „Drodze na moło w Wigan” George Orwell pisał o swoim dzieciństwie przypadającym na schyłek epoki wiktoriańskiej, twierdząc, że nauczono go, iż „w ciele robotnika jest coś lekko odpychającego”. W czasach Orwella, mydło – a nie kondycja fizyczna – wiązało się z tym podziałem; wpojono mu przekonanie, że, jego własnymi słowami, „niższe klasy śmierdzą”.

W dzisiejszych czasach wyrazy przerażenia różnicami klasowymi

znajdujemy w internecie, na stronach takich jak „People of Walmart”. Zamiast czuć odrazę do „brudasów”, współcześni wiktorianie mdleją na widok „żarłoków”. Mimo że dziewiętnastowieczna burżuazja postrzegała korpulentną sylwetkę nie jako powód do wstydu, ale przyjemną oznakę zamożności, jej duchowi spadkobiercy mają obsesję na punkcie zdrowego jedzenia. W ciągu ostatnich 15 lat żywność organiczna z niszowego zjawiska przeistoczyła się w coś niezbędnego do przeżycia.

Przyjrzyjmy się ruchowi bezglutenowemu – tym, którzy z wyboru eliminują gluten ze swojej diety, nie zaś chorym na celiakię, którym nie wolno go spożywać. Kilka lat temu żartowałem, że znalezienie kogoś na diecie bezglutenowej w moim rolniczym miasteczku w stanie Nebraska byłoby wyczynem podobnym do znalezienia dzieł zebranych Piotra Kropotkina w lokalnej bibliotece. Dziś żywność „bezglutenową” można znaleźć na półce niemal każdego okolicznego supermarketu. Ta dyscyplina żywieniowa jest formą cnotliwego samozaparcia, które napełniłoby wiktorian dumą. Gdyby tylko moi dziadkowie mogli dożyć momentu, w którym zrozumieliby, że uprawianie własnych ziemniaków i ogórków czyni z nich klasę wyższą, a nie kmiotów...

WOJNY MAMUSIEK I PODANIA DO COLLEGE’U

Podobna dynamika zatruwa dziś życie rodzinne. Tak jak ich przodkowie, dzisiejsze wyższe klasy średnie przykładają wielką wagę do rodziny. Chociaż dziewiętnastowieczny autorytaryzm osłabł, w tym właśnie wieku zaczęto postrzegać dzieciństwo jako odrębny, szczególny okres życia. Rodzice działali zgodnie z tym przekonaniem, urządzając w domach pokoje dzieciinne. Metody wychowawcze z każdym rokiem stają się coraz bardziej uciążliwe, wymagając od rodziców ekstremalnej dyscypliny i samozaparcia. Tytuł wydanej ostatnio książki „Sama radość, żadnej zabawy” („All joy and no fun”) – brzmiałby jak muzyka dla uszu wiktorian. Czy jest coś bardziej frywolnego i mniej kształcącego niż zabawa? Nie ma na nią miejsca we współczesnym rodzicielstwie, z wszystkimi jego wymogami. Matki muszą karmić

piersią przez dłuższy niż kiedyś czas, kupować dzieciom wyłącznie żywność organiczną i ograniczyć do zera czas spędzany przez maluchy przed ekranem. Potknięcia oznaczają porażkę. Ukazuje to prawdopodobnie najoczywistsze powiązanie między wartościami wiktoriańskimi dawniej i dziś: w obu przypadkach ograniczają one kobiety i umacniają hierarchię płciową.

Nie jest przypadkowe, że te nowe oczekiwania wymagają pieniędzy i czasu. Pracująca matka, która stara się utrzymać rodzinę z kilku prac w sektorze usług, będzie miała mniej okazji do odciągnięcia mleka z piersi niż kobieta pracująca w biurze (nie wspominając o różnicach w urlopach macierzyńskich między pracownikami fizycznymi a pracownikami biur). Moralistyczne imperatywy związane dziś z karmieniem piersią sprawiają, że kobiety z klasy robotniczej – które rzadziej karmią w taki sposób – są osądzone jako gorsze moralnie. Co więcej, w publicznych debatach związanych z ograniczeniami w karmieniu piersią rzadko podnosi się żądania lepszego dostępu do tego rodzaju karmienia przez matki z tej klasy.

Wygórowane oczekiwania wobec rodziców nie kończą się wraz z okresem niemowlęctwa. Małe dzieci zachęca się do udziału w zajęciach w kosztownych klubach sportowych, a rodzice rezygnują z czasu wolnego, żeby je w tym wspierać. Takie aktywności wymagają czasu i pieniędzy, dwóch zasobów, których brakuje ludziom z klasy robotniczej. Rozpowszechnienie zajęć zorganizowanych jest rodzajem ulepszania: czas dziecka zostaje całkowicie poddany zjawisku Bildung. Natomiast zdolność do zapewnienia dzieciom takich możliwości jest przedstawiana jako wyraz moralnej wyższości rodziny, nie zaś jej sytuacji ekonomicznej. Tak jak wiktoriańskie kobiety musiały uczyć się grać na pianinie i mówić po włosku – demonstrując wyrafinowanie niedostępne dla innych warstw społecznych – tak współczesne dzieci grają w piłkę nożną, uczą się mandaryńskiego i odbywają wolontariat w okolicznych organizacjach charytatywnych.

Jednak uwieńczeniem współczesnej pogoni za Bildung jest zdecydowanie proces składania podań do college'u. Nie ma dziewiętnastowiecznego odpowiednika tego niedorzecznego nowego rytuału, mimo że Dickens mógłby napisać świetną satyrę na jego przyrodzony absurd: miliony zachowują się tak, jakby system mocno oparty na uprzywilejowaniu był naprawdę rodzajem merytokracji i jakby wartość człowieka mogła być oceniona na podstawie szkoły, do której został przyjęty. Większość Amerykanów, którzy wybierają się do college'u, składa podania tylko do kilku szkół. Natomiast dzieci z wyższych klas chodzą na standaryzowane zajęcia przygotowujące do egzaminów, pracują jako stażyści lub podróżują w czasie wakacji letnich, żeby zdobyć materiał do esejów wstępnych. Często składają podania do kilku szkół na raz, wszystko po to, żeby zmaksymalizować szanse dostania się do tej o najlepszej reputacji. Rodzice – niezależnie od zdolności intelektualnych swoich dzieci – mogą następnie spocząć w przekonaniu, że ulepione są z lepszej gliny niż plebs wybierający się na dofinansowywane uniwersytety stanowe.

BILDUNG DLA WSZYSTKICH!

Dzisiejsza klasa średnia podtrzymuje iluzję merytokratycznego społeczeństwa, tak jak robili to wiktorianie. Taka wizja rzeczywistości pozwala im na umocnienie swojej pozycji ekonomicznej za plecami robotników, których uczy się, że problemy zdrowotne i beznadziejne perspektywy zawodowe są ich indywidualną winą, nie dysfunkcjami systemowymi.

Oczywiście ćwiczenia fizyczne, jedzenie żywności organicznej i zachęcanie dzieci do pożytecznego spędzania wolnego czasu nie są same w sobie złe. Jednak stają się oznakami burżuazyjnych wartości, kiedy używa się ich do utwierdzenia wyższości jednych klas nad innymi lub do usprawiedliwiania nierówności społecznych. Było to tak samo obrzydliwe w dziewiętnastym wieku, jak obrzydliwe jest teraz.

Powinny nas obchodzić nasze zdrowie, żywienie i wykształcenie.

Jednak zamiast postrzegać je jako sposoby na wsparcie dominacji klasowej, należałoby ulepszać je dla wszystkich po równo. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby energia poświęcana na pomoc w dostaniu się do prestiżowych college'ów przeciętnym dzieciom z klas wyższych została przekierowana na uczynienie wykształcenia bardziej dostępnym i tańszym dla każdego. Wyobraźcie sobie sytuację, w której dostęp do zdrowej żywności dla wszystkich stałby się większym priorytetem, niż uzyskiwanie pożądanego statusu społecznego przez kupowanie najbardziej „pełnych zalet” produktów. Krótko mówiąc, wyobraźcie sobie świat, w którym dominowałyby wartości socjalistyczne, a nie wiktoriańskie.

Autorstwo: Jason Tebbe

Tłumaczenie: Kamila Zubala

Źródło oryginalne: „Jacobin”

Źródło polskie: NowyObywatel.pl